

Czadowe malowanie

Minęło siedem lat od wielkiej akcji malowania. Moi wychowankowie poszli w świat. Przyszli ich młodszy koledzy. Szkoła jakby się wcale nie zmieniła. Nauczycielom przybyło lat, a farby na ścianach wyblakły wracając do standardu krajowego. Zmienił się tylko dyrektor.

Rodzice znów wyrazili gotowość bezpłatnej pomocy w pracach remontowych. Brakowało tylko farb.

Spełniły się moje obawy sprzed lat. Tym razem ministerstwo, przygotowujące się do reformy oświatowej, gotowe było wyasygnować na remont i malowanie szkoły sumę wystarczającą za ledwie na wodę.

Rankiem, pewnego chłodnego październikowego dnia (czyli po rozpoczęciu sezonu grzewczego) wpadła do mojej pracowni Ewelina (pedagog) i oznajmiła, że wyczuwa na parterze jakiś nikły zapach i jest tym lekko zaniepokojona.

Po godzinie w pokoju nauczycielskim wróciła do tematu:

- *Słuchaj, zaczynam źle się czuć. Jest mi niedobrze.*
- *A komu dobrze?* – Odpowiedziałam filozoficznie mieszając kawę.

Ewelina robiła użytek ze swojego wyjątkowego narządu węchu. Ten organ najwyraźniej służył jej nie tylko do ozdoby.

Zeszła do dyrektorki i opowiedziała o swoich odczuciach. Próbowała przeróżnymi argumentami zachęcić ją do podjęcia jakichkolwiek działań. Bez skutku. Jedyne co uzyskała, to uspokajającą odpowiedź: *"Proszę się nie martwić, ja nic nie czuję, nic się nie dzieje..."*.

Od tej wypowiedzi zapach nie zniknął.

Ewelina czuła się coraz gorzej, koczowała tylko na parterze. Nie wchodziła już na drugie piętro do pokoju nauczycielskiego, bo miała zawroty głowy.

Dzieci, szczególnie po lekcji w-f-u, zaczęły skarżyć się na typowe objawy zatrucia gazem: bóle głowy i nudności.

Uparta Ewelina, z nadszarpniętymi już nerwami, kolejny raz podjęła próbę wymuszenia na dyrektorce przerwy edukacyjnej.

Z identycznym skutkiem!

Szef to twarda sztuka - byle czad go nie rusza. Większe zagrożenie stanowili zwierzchnicy - dowiadując się o akcji wietrzenia zatęchłej i zaczadzałej atmosfery w szkole - mogli przyjąć to za afront lub akcję polityczną...

W swojej pracowni historycznej, na Olimpie (czyli na trzecim piętrze) miałam szeroko otwarte okna i dużo świeżego powietrza. Dyrekcję, wraz z panującymi tam zapachami, miałam gdzieś w dole - trzy piętra niżej.

Nauczyciele niższych poziomów zebrali się w kupę w nadziei, że w myśl zasady *"co 2 i pół głowy, to nie jedna"*, znajdą stosowne argumenty przekonujące dyrekcję o konieczności przerwania zajęć dydaktycznych...

Jakże się mylili!

Przeliczając rozumy na sztuki, zapomnieli że *"dziedzic na zagrodzie - równy wojewodzie"*. Po otrzymaniu zapewnienia, że sytuacja jest pod kontrolą, dalej prowadzili lekcje w coraz bardziej zaczadzałej atmosferze.

Przeciętny uczeń jest w stanie znieść wszystko - z wyjątkiem nauczyciela 'z podkulonym ogonem' nie wywietrzonego po rozmowie ze zwierzchnikiem. Ten oto widok spowodował zapewne zasłabnięcie kilkorga najmniej odpornych psychicznie dzieci. Zabrano je do szpitala karetką pogotowia ratunkowego, rozprężając tym samym zapał do nauki u pozostałych uczniów.

Wreszcie był to wystarczający argument do rozpoczęcia akcji wietrzenia szkoły. Z resztą i tak zajęcia zbliżały się ku końcowi.

Na dyrekcji dużo większe wrażenie, od karetki pogotowia ratunkowego na sygnale, wywarł redaktor miejscowego dziennika, który zwietrzył temat i zrobił z tego wydarzenie na pierwszej stronie.

Pozostałe dzienniki poszły za nim jak w dym. W sezonie ogórkowym każde wydarzenie (poza potworem z Loch-Ness) nadawało się do druku. A żeby nie okazać się gorszymi, walcowały sprawę przez tydzień, za każdym razem zwiększając liczbę zemdlnych uczniów oraz umieszczając ich zdjęcia w łózkach szpitalnych, aby wypełnić powierzchnię redakcyjną.

Gdy zaczęto mówić o naszej szkole w dzienniku telewizyjnym - błysnęła iskierka nadziei...

Po kilku dniach obserwacji w szpitalu, uczniowie uczuleni na zapach, zdrowi powrócili do domu. Pozostałe dzieci były im niezwykle wdzięczne za ponadplanowe dni wakacji.

Ewelina przeklinała schedę po Cyraniu, bo czad wpłynął tak niekorzystnie na jej organ węchu, że przez kilka dni nie była zdolna do normalnego funkcjonowania.

Żeby sprawdzić stopień szkodliwości ulatniającego się tlenu węgla, nas wychowawców przetrzymywano przez kilka następnych dni w pokoju nauczycielskim. W przypadku zagrożenia życia, mogliśmy pomoc wezwać telefonicznie - ale z sekretariatu szkoły mieszczącego się dwa pięta niżej, bo zainstalowany w pokoju telefon nie miał 'wyjścia na miasto'.

Posłużono się nami nauczycielami jako królikami doświadczalnymi - oczywiście za naszą 'zgoda'! Mogliśmy w ten sposób okazać 'gotowość do pracy', inaczej okrojono by nam pensje.

Szkoła bez dzieci stała się miejscem tłumnie odwiedzanym - przez liczne grupy specjalistów...

Gdy 27 komisja stwierdziła takie same błędy konstrukcyjne kotłowni ogrzewającej budynek, co 26 poprzednich komisji - Wydział Edukacji stanął przed trzema możliwościami: remont szkoły, likwidacja placówki albo chryja na całą Polskę.

Najekonomiczniejszy okazał się remont!

Zyskaliśmy nowoczesną kotłownię. Łączyło się to jednak z wymianą wszystkich przewodów kominowych i wentylacyjnych.

Szkoła została przeryta wzdłuż, wszerz i w poprzek.

Generalny remont szkoły planowany na lata siedemdziesiąte został wykonany z lekkim (20-letnim) poślizgiem.

Po wakacjach powróciliśmy do świeżo odnowionego budynku.

Byliśmy zachwyceni czystością i kolorami ścian w odcieniach ciepłego beżu.

Wtedy zrozumiałam, że aby być dyrektorem odremontowanej szkoły, trzeba posiadać niezwykle predyspozycje, a przede wszystkim silne nerwy i 'dobrego nosa'.

Gdyby akcja wietrzenia została przeprowadzona natychmiast po sygnale organu węchowego Eweliny, a sprawa nie nabrała rozgłosu krajowego, czekalibyśmy zapewne na remont przez następne 20 lat.

Na pierwszą godzinę wychowawczą, przygotowałam dłuższą pogadankę *"jak należy szanować i cenić dobro wspólne, czyli naszą świeżo odnowioną szkołę"*.

Jednak w oczach dzieci dostrzegłam zachwyt na widok odmalowanej 'budy'!

Również tym "największym niechlujom" sprawiała wyraźną przyjemność przebywanie w czystych murach szkoły.

Zamiast pogadanki ogłosiłam konkurs:

- Pierwszy kto narysuje jakkolwiek bohomaz na ścianie odmalowanej pracowni dostanie ode mnie 20 paczek gumy balonowej. Za wydrapanie gwoździem swoich inicjałów premia w postaci dodatkowych 10 paczek.

Trafiłam w dziesiątkę. Każde dziecko chciałoby zostać szczęśliwym posiadaczem 20 Donaldów - ale nie za taką cenę!

Zapanowała konsternacja.

- Czyżby naprawdę?

- Z nią, to nigdy nic nie wiadomo!

- Znowu nas podpuszcza?

Takie i podobne myśli kłębiły się w główkach moich wychowanków.

Ogólną konfuzję przerwał Janek, znany twórca najordynarniejszych graffiti prezentowanych w toalecie i poza nią, szeptem informując swojego sąsiada z ławki:

- Chcesz gumy? A wiesz k...a, że nie będziesz miał jej czym żuć! Bo jeśli, choćby paznokciem zarysujesz ścianę to ja ci wszystkie zęby powybijam!

Klasa wybuchła śmiechem. Najwyraźniej Janek streścił w swej lapidarnej wypowiedzi poglądy pozostałych.

Pogadanka okazała się zupełnie zbędna...

Minął rok.

Po dziś dzień nikt nie zgłosił się po odbiór nagrody...

Nie dostrzegłam również braków w uzębieniu u moich wychowanków...

Ciekawe....

Warszawa-Gdynia 1999-07-27

